Kilka dni po dziesiątej rocznicy ataków na World Trade Center grupa zjednoczona pod hasłem **„Okupuj Wall Street”**założyła obóz w **parku Zuccotti** niemal naprzeciw miejsca nazwanego przez wojsko „Ground Zero”.
Wybuch protestu zamykał dekadę dwóch nieudanych wojen, ruiny największych amerykańskich korporacji, największej od 78 lat recesji i gigantycznego deficytu budżetowego, będącego częściowo skutkiem cięć podatków dla najbogatszych.
Uczestnicy protestu jako swoje motto przyjęli hasło „Jesteśmy 99 procentami”, odwołujące się do faktu, że 1 proc. globalnej populacji posiada więcej niż pozostała reszta. Ten slogan być może najlepiej oddawał początkowe motywacje stojące za ruchem „**Okupuj Wall Street**”. Dawał poczucie, że coś długo niewypowiedzianego zostało wykrzyczane, a niepokoje rosnącej liczby ludzi stały się częścią życia publicznego
Zeszłoroczne badanie na zlecenie Brookings Institution mówiło, że 54 proc. Amerykanów sprzyjało protestowi. To wyraz przewartościowania stosunku obywateli do amerykańskiego porządku społecznego. W sondażu Gallupa 44 proc. Amerykanów uznało, że system gospodarczy jest wobec nich niesprawiedliwy.
Nierówność dochodów w USA jest większa niż w jakiejkolwiek rozwiniętej gospodarce i jest porównywalna z krajami takimi jak Ghana, Nikaragua czy Turkmenistan. W rankingach **OECD** mierzących całościowe ubóstwo, ubóstwo dzieci i poziom opieki zdrowotnej Stany Zjednoczone lokują się mniej więcej na poziomie Meksyku, Chile i Turcji. Niezdolność systemu do dostarczenia dóbr publicznych objęła w znacznym zakresie klasę średnią. Przestaje zatem dziwić, że w sondażu Pew Research Center po raz pierwszy liczba ludzi poniżej 30. roku życia patrzących pozytywnie na socjalizm (49 proc.) przekroczyła liczbę pozytywnie widzących kapitalizm (46 proc.).
Widać zatem, że społeczne podstawy protestu są bardzo silne. Jednak po roku działalności można odnieść wrażenie, że ruch „Okupuj Wall Street” stał się po prostu reprezentantem jakiegoś kolejnego 1 proc. Nie jest nowym odpowiednikiem Ruchu Praw Obywatelskich pastora Kinga ani lewicową **Tea Party**. Tamte walczyły o nowy kształt polityki i interesy wspólnot, które reprezentowały. „Okupuj Wall Street” jest tymczasem ruchem typu „jesteśmy tu – dostrzeżcie nas”. Więc problemy 99 proc. pozostały tam, gdzie były.
W ostatnim roku ukazały się w USA dwie znakomite prace wyjaśniające kłopoty Ameryki z utrzymaniem spójności społecznej. To „Coming Apart. The State of White America, 1960–2010” Charlesa Murraya oraz „Winner-Take-All Politics: How Washington Made the Rich Richer – and Turned Its Back on the Middle Class” Jackoba Hackera i Paula Piersona. Pierwsza z tych prac dokumentuje proces kształtowania się dzisiejszych nierówności, niespotykanych w USA od lat 30. Druga

pokazuje, że ma on swoje źródła w politycznej gospodarce stworzonej w ostatnich 40 latach, w której finansowe nagrody są skoncentrowane na małej elicie, a ryzyka dźwiga coraz słabiej chroniona klasa średnia.

Pozostaw to pole puste, jeśli jesteś człowiekiem:

Z premedytacją używam tu określenia „polityczna gospodarka”, aby podkreślić, że tradycyjne hipotezy wyjaśniające zdumiewającą koncentrację bogactwa i przypisujące ją wielkiej dynamice rynku są niewystarczające. Z jednej strony prawdą jest, że zmiany technologiczne, które przedkładają pracę intelektualną nad manualną przetransformowały gospodarkę amerykańską. Deindustrializacja podkopała pozycję klasy średniej, bo to przemysł był w dużej mierze jej ekonomiczną podstawą. W tym samym czasie rozwój rynków globalnych wyssał z gospodarki USA tradycyjną produkcję przemysłową i przeorientował ją w kierunku sektora usług. Taka gospodarka również nagradza dobrze wykształconych, ale na drugim końcu opiera się na pracach w handlu detalicznym i rozrywce, gdzie płace są małe, związki zawodowe słabe, a pracownicy zbywalni.
Hacker i Pierson twierdzą, że nierówność nie jest konsekwencją wolnego rynku, ale że jest to rezultat polityk publicznych, które wzmacniały skutki transformacji gospodarczej i kierowały zyski wyłącznie do bogatych. Od późnych lat 70. ujawniła się siła zorganizowanych interesów biznesu, który zmienił pole gry gospodarczej na korzyść bogatych.
W ciągu ostatnich czterech dekad Kongres dwa razy ścinał stawki podatkowe od wysokich dochodów i łagodził politykę wobec zysków kapitałowych, które dawały tzw. okazjonalne dochody (windfall profits) najbogatszym Amerykanom. Kongres zamieniał politykę pracy, utrudniając zawiązywanie organizacji pracowniczych, które umiałyby się przeciwstawić zorganizowanemu biznesowi. Kongres łagodził też politykę nadzoru korporacyjnego, umożliwiając zarządom przyznawanie sobie fantastycznych wynagrodzeń, niezależnie od wyników ich pracy, co w wypadku błędów zarządczych skutkowało automatycznymi zwolnieniami pracowników. Kongres również zderegulował rynki finansowe, w 1999 r. obalając ostatecznie ustawę Glassa-Steagalla, która od lat 30. XX wieku chroniła system finansowy przed rozchwianiem.
Dramatyczny wzrost nierówności nie jest zatem wynikiem naturalnej pracy rynku, lecz czterech dekad świadomych wyborów politycznych, które autorzy podsumowują hasłem „wygrywający biorą wszystko”. Centralny argument książki

Hackera i Piersona mówi, że to nie tylko amerykańska gospodarka, ale cały system polityczny stał się sportem, w którym zwycięzcy biorą wszystko. Amerykańska polityka jest polem walki pomiędzy zorganizowanymi grupami interesu, dążącymi do wpływu na proces tworzenia polityk publicznych. W tym procesie biznes „rozjechał” klasę średnią i zdominował politykę.
W latach 30. USA miały prezydenta – Franklina Roosevelta – który potrafił otwarcie powiedzieć, że cieszy się z nienawiści plutokratów sprzeciwiających się jego polityce. Jak dzisiejsi okupujący Wall Street mówił o rządzie opartym na zorganizowanych pieniądzach i o siłach zachłanności oraz żądzy władzy. Roosevelt został wybrany na cztery kadencje z rzędu. Jego dzisiejszy odpowiednik –Barack Obama – został wybrany przy wielkim finansowym wsparciu pracowników Wall Street, zatrudnił zwolenników deregulacji jako doradców, a zapytany na konferencji prasowej o ruch „okupantów” najpierw przyznał, że rozumie ich gniew, by następnie szybko zapewnić sektor finansowy o swoim nieustającym wsparciu.

Źródło: Dziennik Gazeta Prawna. Czytaj dalej…